

Ks. REMIGIUSZ SOBAŃSKI

Uniwersytet Śląski w Katowicach

CZY PRAWO KOŚCIELNE JEST DZIWNE?¹

Gdy jednemu z polskich biskupów przedłożono uwagi, jakie poczyniłem odnośnie do projektowanego przezeń dokumentu, powiedział: „nie wiedziałem, że prawo kościelne jest takie dziwne”. Na pewno nie w sensie, jaki ów biskup miał na myśli, ale prawo kościelne rzeczywiście jest dziwne – i to „genetycznie dziwne”, czyli dziwne u swojej genezy. „Dziwne”, to znaczy wywołujące zdziwienie.

Zdziwienie wywołuje samym istnieniem swoim. My dziś, po blisko 2000 lat chrześcijaństwa, nie odczuwamy, że odrębne od świeckiego prawo, obejmujące sferę życia religijnego, to zjawisko powstałe dopiero z nadejściem chrześcijaństwa i nieznane poza chrześcijaństwem, tak naprawdę to – po wielkich schizmach – znane tylko katolicyzmowi. Jedynie katolicy są objęci dwoma systemami prawnymi: świeckim i kościelnym. Jest to konsekwencja typowo chrześcijańskiej – i wyłącznie chrześcijańskiej – zasady streszczającej się w zaleceniu „co cesarskie cesarzowi, co boskie Bogu” (Mt 22,21). Władcy tego świata muszą się dziwić, że istnieje sfera życia publicznego wymykająca się spod ich kompetencji; „leges sibi fecerunt” – stwierdził cesarz Galeriusz (311), tłumacząc tym samym, dlaczego ich prześladowano. Ale również w obszarze religijnym wcale nie jest łatwo zrozumieć, że w sferę stosunku człowieka do Boga, owego najbardziej osobistego, intymnego odniesienia człowieka, tam gdzie Bóg oczekuje odpowiedzi wewnętrznym aktem wyrastającym z głębi duszy, wkracza ze swymi regulacjami władza powołująca się na boski mandat. A także z punktu widzenia idei prawa, owego postulat „niech prawo zawsze prawo znaczy”, jego rozbitcie na *historia legum* i *historia canonum* musi dziwić.

Równoległe istnienie dwu praw dotyczących tego samego człowieka prowadzi nieuchronnie do rywalizacji: czy to wrogiej, stawiającej wiernych przed pytaniem, kogo bardziej słuchać, czy to pokojowej – o faktyczną siłę oddziaływania. Ta wroga jest dla prawników mało interesująca, ona rozgrywa się w sferze politycznej, a więc metaprawnej. Wbrew pozorom, znacznie ciekawsza, ale też i nabrzmiała w różnorakie problemy okazała się rywalizacja pokojowa dwu praw. Nie ma przesady w twierdzeniu, że wła-

¹ Przemówienie wygłoszone 13 VI 2001 r. po wręczeniu tomu specjalnego „Śląskich Studiów Historyczno-Teologicznych” 2001, t. 34.

śnie ta rywalizacja dwu praw była jedną z decydujących sił napędowych formowania się cywilizacji europejskiej. Nie chodzi tu tylko o relację dwu władz – *auctoritas pontificum* i *postestas regalis*, jak je nazywa papież Gelazy w liście do cesarza Anastazego I, czy *administrator humanarum* i *dispensator divinarum* – jak ich podmioty nazywa papież Symmachus w liście do tego samego cesarza. Sprawy o układ tych relacji miały węzłowe znaczenie w historii Europy; wspomnijmy tylko kolejno reformę karolińską, reformę gregoriańską, reformację i nowożytną historię stosunków państwo–Kościół.

Bardziej zasadnicze jest pytanie o wpływ owej równoległości prawa świeckiego i kościelnego na samo pojęcie prawa i na jego funkcjonowanie. Pytanie to ważne zwłaszcza dla Kościoła, bo dla Kościoła jest to pytanie o jego faktyczny wpływ na współżycie ludzi, na zasady życia społecznego. Dla kanonistów zaś jest to pytanie o ich tożsamość.

Do dziś rozchodzą się drogi kanonistycznego myślenia przy kwestii, czy są to dwa rodzaje prawa, czy też jedynie dwa gatunki jednego rodzaju zwanego prawem. Nie będę tu i teraz podejmował tego zagadnienia. Wyznam jedynie, że kiedy w 1958 r. zacząłem z polecenia swego biskupa wyklądać prawo kanoniczne w Śląskim Seminarium Duchownym, stanąłem wobec pytania, czym różniłby się mój wykład, gdybym wykladał prawo świeckie? Czy tylko nazwami – tu biskup, tam wojewoda, tu ekskomunika, tam więzienie? Inaczej mówiąc, na czym polega kościelność prawa kościelnego – czy jest to tylko cecha przypadłościowa, czy też sięga ona istoty tego prawa? Albo jeszcze inaczej: gdzie jest Kościół w prawie kościelnym?

Nastręczało się jeszcze drugie pytanie: czy mój przedmiot jest interesujący? I czy on w ogóle może być interesujący? Czy rzeczywiście warto jest zaciekawienia to, gdzie należy przechowywać kluczyk od tabernakulum, z ilu sędziów składa się trybunał w sprawach o nieważność małżeństwa, nie mówiąc już o konwencyonalnych regulacjach prawa partykularnego. Czy rzeczywiście o to chodzi w prawie kościelnym?

Miałem szczęście. Bo wykladałem zaledwie cztery miesiące, kiedy Jan XXIII zapowiedział zwołanie soboru i odnowę *Kodeksu prawa kanonicznego*. Moje pokolenie duchownych zajmujących się naukami kościelnymi, z jednej strony miało dość solidne, neotomistyczne podstawy teologiczne, z drugiej zaś było ze względu na swój wiek wystarczająco plastyczne, by to, co nazywa się hasłowo „teologią soborową”, podjąć aktywnie i kreatywnie, a nie jako *appendix* czy ornament dotychczasowej doktryny. Nie brakło też podejrzliwości wobec – jak mawiano – nowinek... i zdarzyło się, że jeden z moich tekstów nie mógł ukazać się w Polsce. Ukazał się w Belgii w wersji francuskiej – i tak nawiązały się kontakty z zagranicznymi kolegami po fachu, których nie mając za sobą studiów zagranicznych, mogłem znać jedynie po nazwisku w miarę dostępnej w Polsce literatury.

Już pierwszy artykuł opublikowany w periodyku zagranicznym uświadomił mi różnicę między sposobem uprawiania nauk kościelnych w Polsce i za granicą: oni nie tylko piszą, oni czytają! Nie głaszczą problemów, lecz je raczej wystrzają. Dużą przyjemność sprawił mi list Klausa Mörsdorfa o tym, ile my musimy jeszcze zrobić dla odnowy prawa kościelnego – właśnie owo „my” uczonego o najwyższym autorytecie. A już zupełnie śmiało poczułem się na salonach kanonistów, gdy w artykule A. M. Rouco-Vareli, wówczas profesora w Salamance, dziś arcybiskupa Madrytu, grupującym kanonistykę światową według czterech orientacji, znalazłem swoje nazwisko w jednej z nich obok jego własnego i E. Corecco.

Według klasyfikacji dokonanej przez Rouco-Varełę, zaaprobowanej potem przez kanonistykę, kolegów tej orientacji – to znaczy nas – łączy przekonanie, że podstawowe problemy prawa kościelnego można rozwiązać jedynie w ramach myślenia teologicznego. Pojmujemy prawo kościelne jako jeden z wymiarów naszego porządku zbawienia. Podstawy prawa kościelnego dostrzegamy w samej tajemnicy Kościoła, dochodząc tych podstaw, nie zaczepiamy się o jakąś definicję Kościoła (np. Bellarminowską), nie przekładamy sobie Kościoła w jakieś pojęcie społeczności doskonałej, nie modelujemy go na wzór państwa, lecz analizujemy wydarzenie zbawcze, jakie w Kościele i przez Kościół dokonało się w historii. Rozpoznanie tego wydarzenia pozwala odkryć podstawowe struktury prawne Kościoła, które zostają następnie wyrażone pojęciami i formami najbardziej odpowiednimi, a więc w znacznej mierze zaczerpniętymi z kultury prawnej.

Kiedy kanoniści dziś zajmują się podstawami prawa kościelnego, to nie by ktoś na serio kwestionował zasadność jego istnienia. Chodzi natomiast o miejsce prawa kościelnego w tajemnicy zbawienia realizowanej przez Kościół i w Kościele: czy prawo funkcjonuje na peryferiach, niejako na przedpolu Kościoła (np. by zapewnić ład i porządek, likwidować konflikty nieuniknione między ludźmi), czy też odgrywa swą rolę wśród tych funkcji, którymi Kościół realizuje swe zadanie „znaku i narzędzia zbawienia”. Chodzi o sposób myślenia o prawie kościelnym. Na przykład: czy sprawiedliwość jako ideę prawa odmierza się w Kościele według tych samych kryteriów co w prawie świeckim, uznając, że podstawowe przykazanie miłości nie ma żadnego znaczenia dla prawa w Kościele? Albo: czy traktując o mocy wiążącej prawa kościelnego wolno abstrahować od wolności aktu wiary, jakim człowiek powinien odpowiedzieć na wezwanie Boże?

Są to pytania podyktowane naturą Kościoła. Ale tak naprawdę są to pytania z gatunku tych, jakie stawia sobie ludzkość odkąd tworzy prawo: co to jest słuszne prawo, jak można je poznać i jak je zrobić? Chodzi o prawo kościelne słuszne. A słuszne prawo kościelne dziś – to prawo eklezjologicznie możliwie adekwatne i prawniczo poprawne.

I tak obok pytania o Kościół w prawie kościelnym absorbowało mnie pytanie o prawo w prawie kościelnym. Również do prawa kościelnego

odnosi się bowiem konstatacja konstytucji *Gaudium et spes* o posługiwaniu się przez Kościół pojęciami i językami ludów i o korzystaniu przy głoszeniu orędzia z mądrości filozofów (n. 43). W odniesieniu do prawa kościelnego znaczyło to po prostu, że prawo kościelne, skrzętnie zachowując swoją tożsamość, powinno stać na poziomie bieżącej kultury prawnej. Nie da się ukryć, że od początków czasów nowożytnych prawo kościelne pozostawało w ariergardzie europejskiej kultury prawnej. Wynikało to m.in. z defensywnego charakteru potrydenckiej eklezjologii. Skoro Bellarmin porównywał Kościół z republiką wenecką i z królestwem Francji, to rozumiał, że prawo państwowe jawiło się jako wzór do naśladowania. A przecież prawo kościelne, które – wedle swego własnego przekonania – jest w istotnej części konkretyzacją prawa Bożego, powinno prawu tego świata mieć coś do powiedzenia – nie deklaratywnie czy zgola postulatywne, lecz swymi normami czy instytucjami, np. jako paradygmat praw człowieka. Chodziło o obecność prawa kościelnego w świecie prawa nie bierną czy dostosowującą się, lecz aktywną przy zachowaniu własnej specyfiki.

Jeden z aspektów tego problemu ożył w czasach polskiej transformacji ustrojowej. Takie czasy sprzyjają zagrożeniu, któremu chrześcijaństwo przeciwstawia się od swych początków, ale które jest niejako zaprogramowane w dualizmie praw: laicyzacja prawa kościelnego i sakralizacja prawa państwowego. Stąd w ostatnim dziesięcioleciu szereg moich publikacji na tematy pozornie nie wchodzące w zakres kanonistyki, a jednak rzeczowo wyrastające z owych zasadniczych pytań o Kościół w prawie kościelnym i o prawo w prawie kościelnym.

Pytanie o prawo to pytanie o coś, czego nie da się zdefiniować. Można i trzeba posługiwać się definicjami prawa diagnostycznymi i roboczymi, można i trzeba mieć pojęcie prawa, ale z prawem to jak ze sztuką – ją się tworzy, ma się jej wyobrażenie, zdefiniować trudniej (zresztą Rzymianie mówili: „*ius est ars...*”). Mamy wyobrażenie prawa, ideę prawa, ale tę ideę trzeba osadzać w realiach. Bo idea prawa to idea człowieka. Historia prawa, także kościelnego, zawsze jest wyznaczona obrazem człowieka. W prawie kościelnym, wydawałoby się, nie powinno być wątpliwości, przyświecający mu obraz jest wyznaczony antropologią chrześcijańską, nauką o człowieku stworzonym na obraz Boży i odkupionym przez Syna Bożego. A jednak już w ramach „prawowitej” nauki chrześcijańskiej jest to obraz zróżnicowany; zestawmy np. naukę św. Augustyna o rozumie ludzkim, który stał się pyszny, i św. Tomasza o rozumie ludzkim, odbiciu rozumu Bożego. Zwróćmy uwagę na ogromną rozpiętość obrazu człowieka rysowanego w publicystyce, mediach katolickich, nie brak wśród nich takich, gdzie człowiek to potencjalny przestępca, a „nie nasz” to z definicji wróg. A tam, gdzie pozostaje w obiegu nazwa „wróg”, nie ma miejsca na prawo, są najwyżej pozory prawa, jest kamuflaż siły. Historycznym początkiem prawa jest respekt dla drugiego człowieka jako istoty równej. Realistyczne liczenie się z cechami natury ludzkiej pozwoli-

ło dostrzec przydatność prawa jako narzędzia pokoju: *ut silent arma*. Prawo jako wyraz i dowód przymierza. Przywykliśmy do czytania Dekalogu jako zestawu nakazów i zakazów. A przecież został on dany narodowi wybranemu jako partnerowi przymierza. *Hominum causa omne ius constitutum est*.

W październiku minie 50 lat, odkąd zacząłem uczęszczać na seminarium prawa kanonicznego. Odtąd, z wyjątkiem trzech lat przepracowanych jako wikariusz i nauczyciel religii, mam nieprzerwanie czynny kontakt z prawem kościelnym, trochę też z europejską myślą prawną. Mogę powiedzieć dziś, że prawo to coś fascynującego. Jednak to nie teksty są fascynujące, aczkolwiek i takie się zdarzają, zwłaszcza te, które zwięźle ujmują mądrość narodów – jak *suum cuique, pacta sunt servanda...* Fascynujące są zmagania narodów o dobre prawo. Fascynująca jest wizja człowieka odzwierciedlona w prawie – fascynująca, acz czasem niepokojąca czy zgoła przerażająca.

Słyszysz się nieraz opinię, że prawnik to znawca paragrafów, a kanonista to znawca kanonów, zaś dobry prawnik czy kanonista to taki, który przepisy ma szybko na podorędziu. O tym, że nawet to nie jest proste, świadczą problemy dyskutowane w metodologii czy hermeneutyce prawniczej. Ale to tylko jedna z warstw – i to powierzchniowa – problematyki prawniczej. *Jurisprudentia est notitia rerum humanarum* – pisali prawnicy rzymscy. Zawód prawnika to tradycyjnie taki, przed którego podjęciem składało się *profiteor*, wymagane od tych, którzy wprost zajmują się człowiekiem – od duchownych, lekarzy i właśnie prawników. Powołaniem prawników dopiero wtórnie jest tekst, w pierwszym rzędzie jest nim człowiek.

Prof. Punzi Nicolo nadała omówieniu włoskiego wyboru moich artykułów tytuł *La lotta per il diritto* – walka o prawo. Nazwa „walka” byłaby przesadą, gdyby nie fakt, że zwrot „walka o prawo” ma swoją historię. W 1872 r. Rudolf v. Ihering wygłosił w Wiedniu wykład „Der Kampf um das Recht”, który wydany drukiem i przetłumaczony na wiele języków stał się najbardziej znaną w świecie niemiecką publikacją z zakresu prawa. Walka o prawo to według Iheringa obrona, utrzymanie, ostatecznie się osobowości osoby ludzkiej.

Wspomniałem na początku o zdziwieniu jednego z biskupów. Sądzę, że było to zdziwienie *in minus*. Spotykam się jednak też ze zdziwieniem sprawiającym mi satysfakcję. Dzieje się tak zawsze wtedy, gdy udaje mi się wykazać, jak bardzo chodzi w prawie o ludzkie sprawy. W prawie kościelnym postrzega się te sprawy w horyzoncie wiary Kościoła. W świecie rozdzielonych porządków prawo kościelne jest jursprudencją według pełnej definicji Ulpiana: *divinarum et humanarum rerum notitia*.

Jestem już w takim wieku, w którym człowiek się cieszy, gdy znajdują się tacy, co chcą go wysłuchać. Dziękuję Państwu za wysłuchanie mojego *exposé*, dziękuję za przyjęcie zaproszenia Śląskich Studiów Historyczno-Teologicznych.

Dziękuję zwłaszcza swoim przełożonym: ks. arcybiskupowi metropolie Damianowi Zimoniowi, p. rektorowi Uniwersytetu Śląskiego prof. Tadeuszowi Sławkowi, p. dziekanowi Wydziału Prawa i Administracji UŚ Kazimierzowi Zgryzkowi, ks. dziekanowi Wydziału Prawa Kanonicznego UKSW Juliuszowi Kałowskiemu, który znów dziś musi dźwigać ciężary reprezentowania naszych przełożonych z UKSW (jak Państwo widzą, mam dużo przełożonych, zawsze tak było). księdzu biskupowi rektorowi Tadeuszowi Pieronkowi – dziękuję wszystkim państwu za przybycie.

Dziękuję redaktorowi ŚSHT ks. Jerzemu Myszorowi i wszystkim autorom, cieszę się, że z tej okazji zaszczylili ten periodyk nowi, jakże znakomici autorzy – p. dziekan Grabowska, ks. kardynał Grocholewski, ks. bp Pieronek, ks. Juros, ks. Góralski, ks. Misztal, o. Zubert, p. Korzan. Ośmielałem się widzieć w naszym tu spotkaniu mały, ale przecież kolejny krok w procesie włączania się nauk kościelnych w nauki uprawiane w Katowicach pod przewodem Uniwersytetu.

W numerze mi dedykowanym napisano, że ŚSHT są organem Instytutu Teologicznego. Od trzech lat nie funkcjonują już na „papierach niewyraźnych”, jak w latach, gdy je redagowałem. Życzę, by jako organ Wydziału Teologicznego UŚ zaznaczały się jako periodyk znaczący.